№ 42.

Warszawa dnia 7/19 Października r. 1867



NOWOSCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO

W Warszawie *kwartalnie* rs. 1 k. 50, na prowincji i w Cesarstwie *półrocznie* rs. 3 k. 75, Koperta *półrocznie* rs. 1
Prenumerować można na wszystkich stacjach pocztowych.

KOCHANKOWIE Z TERUELU.

DRAMAT W PIĘCIU AKTACH

PRZEZ

Juana Eugeniusza Hartzenbuscha.

PRZEŁOŻYŁ Z HISZPAŃSKIEGO

K. E.

(Dokończenie)

A K T V.

Mieszkanie Izabelli w domu Rodryga.—Wielkie okno bez krat w głębi, otwierające widok na ogród oświetlony księżycem. Światło w pokoju.

Scena 1.

Margarita.—Izabella:

Izabella. Nie mów mi nic — dozwól odetchnąć przez tę chwilę w której oddalił się mąż mój. Bo on już jest moim mężem, nie prawdaż matko? Tak — nagadano mi w kościele sama nie wiem co, rozkazano mi powtórzyć sama nie wiem jakie wyrazy, i oto już nie należę do siebie, już jestem cudzą i odtąd muszę być cudzą. Widzisz że to konieczność. Czy nie to chciałaś powiedzieć mi? Wiedziałam to tak jak i ty.

Margarita. Nie — nie to powiedzieć ci chciałam. Pragnęłam wynurzyć przed tobą żal mój, chcę abyś poznała co cierpi matka twoja. Ale jam nie matka... jam katem, który poświęcił ciebie bez miłosierdzia. Izabello! wierzaj mi. Zaślepiał mnie zły duch, — on to syczał mi złowieszczym szeptem te wyrazy: wstyd, bezcześć i kara. On bez wytchnienia obrazował oczom moim, widok gniewu i boleści męża, i on mi przywrócił dziś światło, abym ujrzała ogrom twéj niedoli, dziś gdy już nie ma ratunku.

Izabella. A więc gdy nie ma ratunku, czemu wspominać o tem? Mówisz że cierpisz, wierzę— i ja cierpię także. Mówisz, że poświęciłaś mnie, mylisz się, to ja... sama poświęciłam siebie. Mówisz że żałujesz i ja po tysiąc krotnie żałuję, ale już zapóźno!

Margarita. Niestety! bodajbym była przyjęła cały ciężar zagrażającéj mi niesławy, byleby pozostawić tobie wolny wybór.

Izabella. Wszyscy chcieli pozostawić mi wolność, wszyscy narzucili mi kajdany. Ale ty matko— nie mogłaś więcéj uczynić. Dzięki ci matko moja! Poświęcałaś się dla mnie, wiem o tem. Nie martw się, nie uważaj na moje wyrazy, bo one tylko oznaką są otrętwiałości i pomieszania. Od dzisiejszego rana nie wiem co się ze mną dzieje. Weszłam do sali téj, aby poszukać kogoś, by zasięgnąć wieści i nie wiem sama kogo szukałam, ani o czém chciałam dowiedzieć się. W takim stanie, cóż mam czynić, jeżeli nie marzyć w gorączce? Lepiéj iż marzyć będę sama, aniżeli abym dręczyła nadto ciebie. Ach! zdaje mi się że szukałam don Rodryga, chcąc go prosić, aby jutro wywiózł mnie na dwór króla Kastylii; jak najdaléj, zresztą... dokądkolwiek.

Margarita. Jakiś paź przyszedł do niego z oświadczeniem, że go jakiś rycerz szuka. Zostawiłam ich rozmawiających.

Izabella. Przypominam sobie — czy już przybył matko droga?

Margarita. Kto taki?

Izabella. I któżby, czy niewymieniłam go? Marsylia.

Margarita. Przybył.

Izabella. Dla tego chciałabym uciec z Teruelu, aby go nie widzieć. Chciałam się o tem wywiedzieć. Jakżebym uradowała się gdybym go mogła zobaczyć — lecz prawdaż matko, że nie powinnam?

MARGARITA. Nie, nie — ani go widzieć, ani słuchać, ani siebie saméj słuchać.

IZABELLA. (kładąc rękę na sercu) Tak — uczuwam tutaj głos, szepczący mi: On kocha ciebie, kochaj go — ale tu, (pokazuje na czoło) głos inny woła na mnie: Może on ciebie kochać, ale ty kochać go nie powinnaś. Czyli widziałaś go? Jakże wygląda? Zaledwie wydarłszy się z uścisków śmierci a już odbył podróż tak nagląco! Zapewne bardzo smutny. I chociażby nim nie był, opowiedz mu jaką ja jestem.

MARGARITA. Nie widziałam go jeszcze, ale pragnę ujrzeć aby go uspokoić, pocieszyć.

IZABELLA. Och tak! zobacz się z nim, zobacz jak najprędzéj. Uproś go, niech ci opowie przygody swoje, a potem... Ale nie... nie powinnaś mi ich opowiadać. Czekaj... Proszę cię nie mów mu, iż nie kocham jego rywala bo nie uwierzyłby temu, że dla Rodryga zapomniałam o nim, bo kosztowałoby go to zbyt drogo, lecz możesz mu powiedzieć, że namiętność moja osłabła. Jestto fałsz, ale to nic nie szkodzi. A że oddałam dobrowolnie rękę Rodrygowi, to jest prawpą, wiesz dobrze o tem. Powiedz mu, niechaj szanuje stan mój, niechaj nie stara się ujrzeć mnie, niech nie ściga mnie.

MARGARITA. Niech się przymusi zapomnieć o tobie.

IZABELLA. Nie! nie chcę, by zapominał o mnie. Dla czego ma wymazać mnie z pamięci swéj? Mamże i ja zapomnieć o nim na przyszłość?

MARGARITA. Nie inaczéj, zapomnisz o nim Izabello. Bóg który dzierży w dłoni swéj serca, nagrodzi cnoty twoje, spokojnością ducha. Bóg nakłoni się do próśb moich, i wszystkie umartwienia duszy twéj przeniesie do serca mojego... u mnie znajdą one usprawiedliwienie, a ty używać będziesz téj spokojności na którą zasłużyłaś. Nie wątp o tem, nie powtarzaj że wątpisz o tem, jeżeli chcesz ażebym żyła. Bądź zdrowa Izabello, zostawiam cię samą, jak chciałaś tego — lubo z przykrością, bo mi obecność twoja, nigdy potrzebniejszą nie była. Przy tobie, milkną zmartwienia moje, ponieważ trzyma je na wodzy twoja cnota, ale w oddaleniu od ciebie, nie mam nic, coby oparło się ich potędze. Córko moja bądź zdrowa (wychodzi).

Scena 2.

IZABELLA. Zaczekaj matko a ujrzysz jak szybko ustępuje burza z méj piersi, na wzburzonéj fali wiodąc mnie ku mogilnéj ciszy. Dla tego też tylko ta ręka, szanuje własne życie. Żaden umierający nie przyspiesza chwili swego zgonu. Ale jeżeli ta nadzieja zgonu, omyli me cierpienia. Jeżelibym uwierzyła, iż obraz przerażający który mi narysowało przeczucie, zawiera moją przyszłość, ówczas któż zdołałby położyć granicę méj rozpaczy? Żyć z człowiekiem, który przeszkodził mi zostać najszczęśliwszą ze wszystkich na ziemi. Och! łaska Boża nie jest tak skąpą. To pewna! Boże mój, wszak sprawiedliwość twoja już zaspokojona tyloma udręczeniami, wszak już zakończony czas próby dla mnie i dla Marsyliego. Zabłyska nam jutrznia nagrody! Ty z ponad tronu, gdzie Wielkość Twoja unosi się ponad serafinami, spoglądasz dobrotliwie na łzy nasze i na anioła śmierci, i nakazujesz mu, aby strzaskał to naczynie z gliny, które krępuje duszę. Ty otwierasz nam litościwe łono ojcowskie w którém gości sama miłość. Ty nas przyciskasz do niego, dłoń twoja zawiesza na nas wieńce tryumfu i pozwalasz nam się kochać na zawsze. Ach! poznaję, zbliża się godzina moja ostatnia, dusza rwie się z upadającego ciała. Nie mogę się utrzymać.... Opuszczają mnie siły — już nic nie rozpoznaję do około siebie. (osuwa się na ławkę i zostaje nieruchomą)

Scena 3.

Marsylia — Izabella.

MARSYLIA. (wchodząc oknem) Nie świadomy miejscowości, nie wiem gdzie się znajduję. Jestże to komnata Izabelli? Nie! jéj tu niema. Co widzę.. kobieta.... Odpoczywa, nie przeszkadzajmy.

IZABELLA. Ach Boże! jakiś człowiek! Nieba! Czy nie on? to on! Gdyby nadeszli, gdyby go tu zastali. Będęż miała odwagę uciec?

MARSYLIA. Serce mówi mi że Izabella jest tutaj. obraca się poznaje ją — zbliża się z roztwartemi rękoma Izabella usuwa się) Ubóstwiona istoto!

IZABELLA. Marsylio!

MARSYLIA. Drogi skarbie!

IZABELLA. Wstrzymaj się. Zkąd ośmielasz się przychodzić tutaj? Gdyby widziano cię wchodzącego, po co przyszedłeś? dla czego?

MARSYLIA. Dla czego? na Boga! zapomniałem... Lecz czy nie dość, że dla tego wraca Marsylia do Izabelli swéj, aby poić się mógł rozkoszą patrzenia na nią. Och! jakże piękną przedstawiasz się oczom moim. Nigdy nie widziałem cię tak cudną, tak zachwycającą. Jednakże sprawiają mi te błyskotki, te drogie kamienie, przykrość niewypowiedzianą. Odrzuć je moja droga. Niechaj skromny biały kwiat, wyhodowany w ogrodzie moim, będzie ozdobą twéj anielskiéj twarzy, miłość moja zasmuca się widokiem tylu bogactw.

IZABELLA (na stronie). Umysł jego trawi gorączka jaka miotała mną dawniéj.

MARSYLIA. Obawa moja uleciała. Spostrzegam na ręce twojéj znak twojéj wierności. Spodziewałaś się mnie i chciałaś olśnić me oczy. Ten pierścień jest klejnotem uszczęśliwiającym mnie (ujmuje ją za rękę, aby ją ucałować). To nie mój! Ach to okropnie Porusza się wąż, aby wyszarpać mi serce.

IZABELLA. Czy nie domyślasz się co ten strój oznacza na który patrzysz bez wstrętu? To znaczy nasz rozdział... rozumiesz?

MARSYLIA. Potęgo niebios!.. Straszliwa prawda!

IZABELLA. Jestem zamężna.

MARSYLIA. Jak mogłaś sprzedać rękę swoją?

IZABELLA. Don Diego....

MARSYLIA. Lecz jak mogłaś nie odmówić? Bojaźń i gwałt, wydarły mimowolnie z ust twoich wyraz nieszczęście.... przyrzeczenie. Nie prawdaż Izabello.

IZABELLA. Wie niebo tak jak i ty wiesz, ile kochałam ciebie. Z tem wszystkiem, czy uwierzysz Marsylio, poszłam dobrowolnie do ołtarza.

MARSYLIA. Czy to Izabellę słyszę mówiącą? Czy

wiesz, że sama siebie oskarżasz o zdradę, o przeniewierstwo?

Izabella. Jam wiarołomna — Wielki Boże!

Marsylia. Nie — nie wierzę temu. Okropna nieufność! Usta moje rzuciły ci słowa nieufności, to była tylko boleść — tylko zadziwienie.. powiedz, powiedz mi tylko że mnie kochasz.

Izabella. Mój obowiązek....

Marsylia. Jest kochać mnie.

Izabella. Mam męża.

Marsylia. Małżeństwo twoje obraża wiarę i Boga. Ręka twoja należy do mnie. Mnie ją oddała miłość, i przybyłem wydrzeć ją przywłaścicielowi.

Izabella. Zapominasz gdzie się znajdujesz. Te ściany mogą stać się grobem dla ciebie.

Marsylia. Nie lękaj się ani o siebie ani o mnie, nie jestem sam, towarzyszą mi, miecz mój i męztwo. Powiedz Izabello, czy uległaś przemocy czy słabości swojéj, czy potędzeułudnego bogactwa? Wyznaj bądź otwartą, będę pobłażający. Czyli już wytlała się wierność w sercu twojem, którą mi dawniéj okazywałaś? Odpowiedz przynajmniéj, żądam od ciebie miłości lub zapomnienia. Stanów o życiu mojem lub o śmierci, rzeknij: śmierć czy życie, a każde z nich jako od ciebie idące, będzie dla mnie pożądanem.

Izabella. Cóż ci mogę powiedzieć? Bóg tak chciał. Termin upłynął doniesiono mi o śmierci twojéj — uwierzyłam.

Marsylia. A przyrzeczenia twoje? kiedy wyjeżdżałem cóż powiedziałaś mi przy rozłączeniu? Jedź, czeka na ciebie wierna Izabella. Albo tobie rękę moją oddadzą rodzice, albo poświęcę się Bogu.

Izabella. Gdyby wzrok twój mógł przejrzeć serce moje, gdybyś znał skrytą przyczynę tego związku! gdybyś wiedział ile umartwień kosztowało mnie, zanim zmusiłam się do wprzęgnięcia w to jarzmo.... los mój wydałby się tobie pewnie godnym pożałowania. Izabella którą nazywałeś swoją nie mogła należeć do ciebie, jak mniemałeś. Kiedy oddawałam rękę Rodrygowi, rozdzielały nas na zawsze przeszkody niezwalczone, których przemódz siła ludzka nie zdołałaby.

Marsylia. Przeszkody — tajemnice— jakie? powiedz.

Izabella. Nigdy.

Marsylia. Czy tak usprawiedliwiasz się? Wyznaj.

Izabella. Niepodobna — nie podobna.

Marsylia. Odkądże to tajemnica przed kochankiem, znalazła przystęp do twego serca?

Izabella. O matko.

Marsylia. Nie odpowiadasz?

Izabella. Szanuj tajemnicę kobiety. Przypuśćmy, że otrzymałeś wiadomość o mojéj śmierci, gdzie na krańcu Afryki lub Azji — przypuść, że tam głos pewien uzbrojony w najpotężniejsze i uwodzące czary, głos, którego brzmienie przejmuje, że natura, wdzięki i wszystko cokolwiek może uzyskać echo w twem sercu, rzucając się do stóp twych, żądało poświęcenia niesłychanego, poświęcenia, życia, dla ocalenia honoru.... czyżbyś w takim razie, równéj nie popełnił zdrady?

Marsylia. Nigdy! Kto kocha prawdziwie, nie zważa na nic. Kochanek stały, poświęca wszystko na ołtarzu bóstwa które czci. Czy sądzisz, że w ciągu twéj nieobecności; serce moje niezłomne, nie stoczyło walk niesłychanych? Nie widziałażeś téj kobiety która poniosła ci wieść, niestety! kłamliwą o moim zgonie. Ta kobieta usiłowała mnie oczarować... ofiarowała się przejść na wiarę moją, i dzielić ze mną losy, a jednak wzgardziłem nią. Groziła mi zemstą i torturami, lecz ani pochlebstwa ani groźby ani krzyki rozpaczy, któremi starała się zawładnąć mną, upadającym pod ciężarem rozpaczy, nie zdołały wymódz, aby zachwiała się męzka niezłomność méj miłości. Twój za życia, chciałem pozostać twoim i w grobie. Nadaremnie chciałabyś porównywać mnie ze sobą. Widzę z boleścią, z okropną boleścią, że dusza moja już roztrzaskana, że miłość moja oszukiwała się, sądząc iż serce twoje, podobne jest do mojego.

Izabella. A więc Marsylio, dla czego zaprzeczać? Powinnam wyznać, że przewiniłam sama. Nic nie zdoła mnie usprawiedliwić w oczach twoich. Wszystko oskarża mnie i woła o potępienie. Wybacz Marsylio. Jeżeli byłam zdolną złamać wiarę zaprzysiężoną tobie, ty który nigdy nie przestałeś mnie kochać, ty mi przebaczysz. Na klęczkach i łzami oblana, twoja Izabella zaklina cię o przebaczenie, o litość! Oby mogła zasłużyć na tę łaskę, bo widziemy się po raz ostatni. Obym ją mogła unieść przed oblicze wszechmocne Najwyższego Sędziego, który rozkazuje mi strasznym głosem, uzyskać ją od ciebie, i okazać przed wieczystym trybunałem. Na Boga! Marsylio, nie wyjdziesz ztąd, nie przebaczywszy mi pierwéj (klęka).

Marsylia. Ty u nóg moich? Wyznajesz się winną. Cóż przyjdzie ci z tego Izabello? Ty mnie oszukujesz. Płacz ten nieutulony zadaje kłamstwo temu co czynisz, o co się ustami oskarżasz. To nie jest płacz skruchy. To łzy miłości czystéj, nieskalanéj, wiernéj tak jak i moja. Och! światło moich oczu! Zaprzestań ronić łzy. Przestań... Przestań... Przywróć mi życie słowem tylko jednem.

Izabella. Przyrzekniesz posłuszeństwo jedynéj méj prośbie?

Marsylia. Niewdzięczna! Kiedyż sprzeciwiłem się twéj woli? Czyli moja wola nie jest twoją? Rozrządzaj, mów:

Izabella. Przysięgnij!

Marsylia. Przysięgam!

Izabella. Dobrze więc. Kocham cię. Oddal się.

Marsylia. Okrutna! lękałaś się aby takie szczęście nie zabiło mnie u nóg twoich, żeby słodycz jego nie została pomięszaną z jadem boleści. Jakże skojarzyłaś te dwa nieprzyjacielskie wyobrażenia, miłości i wygnania?

Izabella. Wiesz, nie należę do siebie. Należę do człowieka, który honor swój mnie powierzył, powinnam więc pozostać mu wierną. Tak rozkazuje mi Bóg!.. Marsylio, podobni cnotą i miłość nasza równie była cnotliwą. Dla czego żądasz zedrzeć z niéj tę uroczą szatę? Jeżeli potrzeba wyznać że cię ubóstwiam, że obraz twój odbity w sercu mojem przechowam na zawsze—to powtarzam ci to i zaprzysięgam. Lecz uchodź niezwłocznie. Uwolnij mnie od siebie, bądź wielkoduszny. Uchodź... uchodź...

Marsylia. Nie kończ! dosyć! Wymagasz mego

oddalenia, to znaczy śmierci. Jakże żyć mogę bez nadziei? Nie lękaj się abym oskarżał ciebie o mój zgon. Umrę z weselem, skoro mi rozkazujesz. Dozwól tylko niechaj w nagrodę, raz tylko usta moje dotkną się twego białego czoła....

IZABELLA. Niepodobna Marsylio! jestem zamężna.

MARSYLIA. To moja prośba ostatnia.

IZABELLA. Miéj litość nad kobietą co cię kocha....

MARSYLIA. Och raczéj ty miéj ją nademną. Uścisk dany kochance od najdroższego kochanka, będzie tak nieskażony jak moja wierność, tak czysty jak czoło twoje.

IZABELLA. Nie przybliżaj się.

MARSYLIA. Napróżno unikasz mnie.

IZABELLA. Boże przedwieczny. Ocal mnie! Marsylio wstrzymaj się, albo zawołam Rodryga.

MARSYLIA. Wołaj go — wołaj wiarołomna, ale nie myśl, że usłyszy głos twój i przybieży na twój krzyk. Nie nasyca także próżności swojéj, słuchaniem z estrady pochlebnych powinszowań ślubnych. O nie! Daleko poza murami, wije się w śmiertelnéj boleści, kąpiąc się we krwi własnéj.

IZABELLA. Och!.... Zamordowałeś go?

MARSYLIA. Zdrajczyni! Płaczesz po nim. O wściekłości! Gdybym przypuścił to, któżby go ocalił?

IZABELLA. Żyje on?

MARSYLIA. Żyje — dzięki méj szalonéj łaskawości. Zaledwie skrzyżowaliśmy szpady, już moja dosięgnęła go, i w chwilę potem — dumny, upadł na kolana zostawiwszy miecz swój w méj mocy. Och! przeklętą niech będzie moja zręczność orężna. Przeklęty człowiek, zasiewający cnoty, gdy z nich ma zbierać żniwo niewdzięczności. Precz z ludzkością! pragnę zbrodni. Okrucieństwo twoje, przynagla mnie zostać okrutnym, i na tobie dokonać tego muszę. Natychmiast wyjdź ze mną z tego domu.

IZABELLA. Nie — nie.

MARSYLIA. Pójdź ze mną.

IZABELLA. Nieszczęśliwy.

MARSYLIA. Milcz — nie słucham niczego.

IZABELLA. Odważyłżebyś się?

MARSYLIA. Na wszystko. Tak to konieczne... Czy wiesz nieszczęsna, że tu chodzi o życie twoje. Czy wiesz, co wyrzekł ten nędznik którego opłakujesz? co rzekł upadając w pojedynku: Tryumfujesz, ale posiadam sposób zemszczenia się.

IZABELLA. (przerazona) Co wyrzekł? co?

MARSYLIA. Zemszczę się na don Pedrze, Małgorzacie i Izabelli. Broń moja wszystkich ich zarówno dosięgnie!

IZABELLA. Boże! Przeszkodźmy, biegnijmy, gdzie on się znajduje? powiedz?

MARSYLIA. Nie bój się wierna małżonko. Już uprzedziłem o tem twojego ojca, i pozostanę przy jego boku.

IZABELLA. (w najwyższéj rozpaczy) Zgubiłeś mnie. Nieszczęście ściga twe kroki.

MARSYLIA. Nie bój się niczego, u twego ojca jest teraz sędzia.

IZABELLA. Dla tego właśnie oddałam mu rękę moją.

MARSYLIA. Niegodziwa!

IZABELLA. Cożeś ty uczynił. Ach! moja matka!

MARSYLIA. Bezwstydna! wyznajesz zdradę. I mówi że mnie kochała!

IZABELLA. Człowieku przekleństwa! abyś był nigdy nie oglądał murów Teruelu. Okrutny! jeszcze śmiesz domagać się miłości od kobiety przez ciebie zrozpaczonéj. Nienawidzę ciebie!

MARSYLIA. Och Boże! onaż to wyrzekła? (upada na ławkę jakby rażony piorunem) To już za wiele!

IZABELLA. Co widzę! On mdleje. Przebacz mi chwilę uniesienia.

MARSYLIA. Izabella nienawidzi mnie... Oszukiwała mnie (pokazuje na serce) Czuję tu, co za ból. Ubóstwiam ją a ona nienawidzi mnie... ona zabija mnie.

(umiera)

IZABELLA. Matko moja! Miłosierdzia. Marsylio! Nieba! Serce ustało, czoło zastygło.

Scena 4 i ostatnia

Ciż, Małgorzata, potem Don Pedro — i słudzy płci obojéj, w końcu Rodryg.

MARGARITA. Co się stało? co za hałas— Izabello.

IZABELLA. Ratuj go, ocal dla mnie.

MARGARITA. Co widzę. Jestże tak mocno zraniony? Gdy nakoniec Azagra położył koniec méj niespokojności, zwracając mi list ostatni — spotykam tu.. (wchodzi Pedro — i ludzie)

PEDRO. Marsylia?

IZABELLA. (do ojca) To on! Nie obwiniaj mnie (do Margarity) życie jego....

MARGARITA. (biorąc Marsylię za rękę) Już uleciało ztąd... Nieszczęśliwy.

IZABELLA. Umarł?

Wszyscy. Umarł!

IZABELLA. Zabiłam go. Chciałam oddalić go. Powiedziałam że go nienawidzę — rozpacz — przerażenie. Jam skłamała przed nim.

PEDRO. Pójdź córko moja!

IZABELLA. (coraz słabiéj) Przecież lituje się niebo nademną. Wieczność otwiera już wrota swoje przedemną — świat cały ucieka z przed oczu moich. Jeden grób podzielę z trupem, i trumna moja przy boku jego Marsylio! kochałam ciebie — zawsze cię kochałam. Ty mnie opłakiwałeś cudzą, a ja umieram twoją. (Rzuca się na ciało Marsyliego — i umiera obejmując go na klęczkach).

DON RODYG. (wchodzi prowadzony przez Marją z przewiązaną raną — wybladły, słabym głosem). Moja żono! Izabello.

MARGARITA. (załamując ręce) Już nie żyje.

KONIEC.

POGADANKA TYGODNIOWA.

W pierwszych dniach przeszłego kwartału, jedna z moich kuzynek, z czarnemi figlarnemi oczkami, co palą żarem a nęcą jak przepaść, stanęła rankiem w mojéj pracowni z minką strasznie zafrasowaną i wachlując się rzekła:

— Ach! co za gorąco.

— Czuję go i domyślam się odrzekłem — ale sądzę że inna przyczyna sprowadza kuzynkę...

— Istotnie mam interes— a ponieważ nie lubisz rannych odwiedzin, więc odrazu przystępuję do rzeczy. Przy tych słowach wyciągnęła drobne swoje rączki, rzuciła spojrzenie jak błyskawicę i z uśmiechem niewysłowionego przymilenia, mówiła daléj:

— Mój kuzynku musisz pójść ze mną i to natychmiast, bo już jednéj chwili nie ma do stracenia. Wiesz że się wyprowadzamy z naszego mieszkania, ale wystaw sobie ósmy przypada w poniedziałek, a ja w poniedziałek za nic w świecie nic nie rozpoczynam.

— A to dla czego?

— To dzień feralny, wróżba niezawodna jakiego zmartwienia, a często nieszczęścia.

— Jest racja — odrzekłem z powagą. W poniedziałek Adaś rozpoczął proces i przegrał, prawda że sprawiedliwie, ale kto wie jakby było gdyby pozwy wydał we wtorek. Juljan w poniedziałek ożenił się i we dwa lata ołysiał: ja w poniedziałek w czternastym roku życia zacząłem siwieć: Marek Aureljusz urodził się w poniedziałek i umarł także w poniedziałek...

— No — no — dosyć kuzynku, wiem że ci na wymowie nie zbywa, ale tu idzie tylko o przejście ze mną do lokatorów na których miejsce my się wnieść mamy, aby pozwolili choć cząstkę rzeczy przenieść do siebie w sobotę. Mój drogi kuzynku, jesteś tak dobry, tak poczciwy, nie odmów mi téj małéj przysługi. Wynagrodzę cię prześlicznym dygiem, jeszcze piękniejszym uśmiechem, a najpiękniejszem spojrzeniem o jakiem niemarzyło się nawet Markowi Aureljuszowi.

— Cóż było robić? — Nagroda za nadto była ponętna, Jankowéj jednak ani słówka o niéj nie wspomniałem. W pół godziny potem byliśmy już w celu naszéj wyprawy. Przed nami stała chuda, wysoka z obwiązaną twarzą jejmość oczy wznosząca w górę jak wyrocznia Olimpijska. Kiedyśmy przedstawili interes, jéjmość westchnęła, złożyła nabożnie ręce, i odrzekła:

— Chętniebym dogodziła, ale dzień dzisiejszy wyjątkowy, bo nieparzysty w dacie, a państwo przyśliście w parze, więc....

— Czy i to do feralności należy?—zapytała z ciekawością kuzynka.

— A jakże. Żebyście jutro przyszli trzydziestego, chętniebym na to pozwoliła, bo data parzysta, ale dziś 29 to inna rzecz. Trzeba było dziecko wziąść z sobą, choćby wreszcie psinę jakiego, to byłaby trójka nieparzysta. Przypomniałem sobie pudlicę moją Brysię, fotografowaną razem ze mną pokazując ją więc, zapytałem:

— A czy portret mojéj Brysi, na utworzenie wymaganéj trójki, nie wystarczy przypadkiem?

— Żadnym sposobem, tu koniecznie potrzebna żywa dusza. Że zaś trzeciéj żywéj duszy nie było, zrobiłem więc poruszenie jakby do wyjścia. Ale kuzynka nie tak łatwo dała się zastraszyć.

— Łaskawa pani — odezwała się — wejdź w moje położenie. Ósmy przypada w poniedziałek, w dzień feralny, gdyby więc jakie nieszczęście wypadło...

— Poniedziałek do mniejszych feralności należy— przerwała wysoka jejmość największą feralnością jest dzień w którym nów przypada...

— Nów? — czy to być może?

— Tak pani, a mówię to z doświadczenia, nów zaś w sobotę ma miejsce i dla tego dziwię się niewymownie, że pani sobotę przekładasz nad poniedziałek. Co do mnie w dzień nowiu nigdy nie miałabym odwagi zmieniać mieszkania. Nieszczęście pewne.

Kuzynka z przerażenia aż załamała ręce.

— A to dziwny zbieg okoliczności! — odezwała się z przerażeniem — dziś piątek, cóż więc zrobić wypadnie?

Obie panie milcząc spoglądały na siebie z wielkiem zakłopotaniem; pragnąc więc przyjść im w pomoc i wymyśloną feralnością pobić feralność, odezwałem się z powagą:

— W kabalistycznem pojęciu feralności, nie jestem wprawdzie biegły, ale słyszałem od osób niezmiernie wiarogodnych, że dzień nowiu jest złą wróżbą tylko dla blondynek, a kuzyna moja jest brunetka jak pani widzisz.

— Nie wiedziałam o tem — no — no — odrzekła jéjmość kręcąc głową ze znaczeniem — ale być może, na świecie różne są tajemnice nieodgadnione.

— A zatem — odezwałem się uradowany że mi się fortel tak wybornie udał — możemy mieć nadzieję, że pani nie sprzeciwi się rozpoczęciu przeprowadzania mojéj kuzyny w sobotę...

— O! nie panie, to niepodobna. Przed chwilą miałam ten zamiar, zostawiając skutki złego do woli państwa, ale prośba brunetki przybyłéj do mnie w towarzystwie parzystem, w dzień nieparzysty, mogłaby dla mnie złe następstwa wprowadzić. Wybaczcie więc państwo, ale żadnym sposobem nie mogę pozwolić. Z obawy nawet powiem wam szczerze, że mogłabym się rozchorować.

— Ależ łaskawa pani, to tylko z méj strony....

— Przepraszam, bardzo przepraszam — przerwała jéjmość i zamknęła nam drzwi przed samym nosem, przekręcając klucz w zamku na dwa spusty.

— To się nam wyprawa powiodła! — zawołałem z frasunkiem.

— Wybornyś kuzynku do interesu! — odezwała się z dąsem moja towarzyszka i spojrzała na mnie jak grzechotnik uderzający swoją ofiarę. Po cóż było wyciągać bajdy o brunetkach i blondynkach?

— Chciałem zniszczyć jéj przesądne skrupuły....

— Prześlicznie ci się udało! Teraz radź co robić, bo ja w poniedziałek ani się ruszę.

— Idźmy więc do gospodarza, może on udzieli jaką radę.

Gospodarz krępy, niski i baryłkowaty przyjął nas

jeszcze kwaśniéj i tak się pochmurzył, że aż w pokoju ściemniało.

— Oho! — pomyślałem sobie — źle, będzie tu z pewnością nowa próbka fatalizmu.

Kuzyneczkę więc puściłem na pierwszy ogień i przeżegnałem ją w myśli pobożnie.

— Masz tobie! — szepnął gospodarz zobaczywszy ją wchodzącą.

— Mam wielką prośbę do pana dobrodzieja — zaczęła potulnie moja miła towarzyszka, ale gospodarz nie dał jéj daléj mówić i sapiąc z widocznym wrzasnął strachem:

— Żadnych próśb łaskawa pani, w piątek żadnéj prośby nie przyjmuję od kobiety wchodzącéj do mnie przed mężczyzną. Jutro, jutro, jeżeli łaska.

I znowu drzwi warknęły zgrzytając przekręcanym w zamku kluczem.

— Co tu robić? zapytała kuzynka na wpół z płaczem — dzień piątkowy widocznie nieszczęśliwy dla mnie....

— To może poniedziałkowi zaufać, i przeprowadzić się według przepisu prawa...

— A! za nic w świecie, poniedziałek już wypróbowany, a piątek musi dopiero przejść przez doświadczenie.

— Chodźmy więc do stróża.

— Czy zastałem stróża? — zapytałem uchylając drzwi do małéj izdebki, po któréj kręciła się żona odźwiernego, a on leżał na łóżku i palił fajkę. Zamiast odpowiedzi pani stróżowa odwróciła się do męża i tonem największego wyrzutu, zapytała:

— I dlaczegóżeś drzwi za sobą nie zamknął? Czy zapomniałeś że to piątek i że w piątek nieszczęście włóczy się po świecie i do każdych drzwi zagląda? Niech pan wyjdzie.

— Za pozwoleniem — odrzekłem opierając się natarczywości odźwiernéj, mającéj wielką ochotę wyrzucić mnie za drzwi — muszę się rozmówić ze stróżem...

— Oho! to się na nic nie zdało — odrzekł małżonek wyciągając się swobodnie na łożu — bo choć o włóczeniu się nieszczęścia w piątek to bajka wierutna, ale zawsze piątek nieszczęśliwy. W piątek powziąłem myśl żenienia się, w piątek sprzedałem fortunę, w piątek zostałem stróżem, i wszystko mi to kością stoi w gardle. Dlatego w piątek nic nie robię, nic nie mówię, nic nie myślę, tylko jem, piję, fajkę palę i spię. I dobrze mi tak, a w piątek najlepiéj.

— Wierzę temu, ale kiedyż z asanem można się rozmówić?

— Zaraz — zaraz. Wniedzielę kościół: poniedziałek feralis — wtorek kaducys, środa....

Zniecierpliwiony trzasnąłem drzwiami, że aż zagruchotało w całéj kamienicy.

Nie było więc rady. Kochana kuzyneczka w poniedziałek przeprowadziła się szczęśliwie i do dziś dnia porządek niczem niezakłócony panuje w domu. Wprawdzie utrzymuje uporczywie, że rozmyślnem rzuceniem śpilki na ziemię w rozmowie z ową jejmością, niby jako znak rozpoczętych przeprowadzin, podeszła ciążącą nad poniedziałkiem fatalność, jednak dziś już o tem nie wspomina, bo przyjaciołka od serca, oświadczyła jéj że upadnięcie śpilki ostrzem ku podłodze jest zapowiedzią strasznego nieszczęścia. Milczy więc, bo nie wie czy śpilka główką upadła, czy fatalność zapomniała, odpowiadaniem zaś lęka się przypomnieć.

O UBIORACH.

KORESPONDENCJA Z PARYŻA.

Widzieliśmy w tych dniach kilka gotowych sukien, wykonanych w magazynie panien Kuhnke u Worsta i w innych sławnych zakładach paryzkich. Piękne te suknie opiszemy tu szczegółowo. Pierwsza z nich powłóczysta z materji w kolorze brązowym, a raczéj waniljowym, krajana w kliny, przymarszczana z tyłu, objęta była u dołu grubym jedwabnym sznurem w tymże samym kolorze. Stanik gładki spinał się na guziki. Główną ozdobę stanowił pasek aksamitny, od którego spadały z obu stron przodu, po dwie szarfy aksamitne jedna koło drugiéj. Szarfy bliższe przodu, miały ledwie łokieć długości, dwie inne cokolwiek były dłuższe, wszystkie cztery obszyte frendzlą jedwabną tegoż samego koloru. W miejsce gdzie dwie szarfy łączyły się z sobą, szły rozetki z wązkiéj wstążeczki, dane po cztery jedna nad drugą, w jednakowych odstępach. Rękawy zwyczajne ścięte do łokcia miały mankiet aksamitny, zakończony u dołu frendzlą, przybrany rozetką. Na ramieniu szła plisa aksamitna, a na niéj pięć rozetek w odstępach.

Druga suknia jedwabna czarna, długa powłóczysta, naszyta była u dołu aksamitką szeroką blizko na dwa cale: aksamitka ta na każdym zszyciu brytów, tworzyła nie wielki ząb podniesiony w górę, od tego zęba szły w górę słupki z aksamitki, z przodu wysokie blizko na łokieć, zniżające się coraz bardziéj ku tyłowi. Na przodzie z poza słupka, rozchodziło się na obie strony pięć pukielków z aksamitki. W miejscu gdzie te pukielki łączyły się ze słupkiem, dany był guzik lawowy. Na dalszych brytach ku tyłowi, pukielki szły tylko na jedną stronę obrócone do tyłu, przytwierdzone guzikiem. Liczba ich zmniejszała się coraz bardziéj, tak że z tyłu był tylko jeden pukielek odwrócony na obie strony. Stanik gładki spięty na lawowe guziki, przepasany był szarfą jedwabną, związaną z tyłu, zakończoną u dołu kokardkami z aksamitki. Mankiety u rękawów przybrane były stosownie, od ramienia na rękaw, spadały pukielki aksamitne.

Trzecia suknia także czarna jedwabna miała spódniczkę fijołkową, sięgającą do ziemi. Z przodu wierzchnia suknia, krótsza na półłokcia, zakończona była ząbkami czarnemi; nad niemi szła pliska fijołkowa. Przez środek przodu, przechodziły cztery takież pliski, a między niemi rząd fijołkowych guzików. Tylne bryty powłóczyste kończyły się ząbkamii pliską fijołkową; ząbki te wraz z pliską zawrócone w górę po bokach, dochodziły do stanu. Stanik czarny pod szyję miał w górze odwinięte klapki, z pod spodu wyglądała kamizeleczka fijołkowa.

Rękawy były podwójne, jedne wązkie fijołkowe, drugie szerokie otwarte czarne, zakończone ząbkami i pliską. Z tyłu spódnica podnosiła się i spinała na jeden guzik.

O innych sukniach powiemy w następnem sprawozdaniu, dziś dodamy kilka słów o pięknych kapeluszach zakupionych na model przez panny Kuhnke. W ogólności tegoroczne kapelusze większe są od dawniejszych, rondo u nich cokolwiek podniesione w górę, główka okrągła szeroka. Szarfy po większéj części aksamitne ukośne, podbite atłasem spięte pod brodą na rozetkę. Noszą także i fanszoniki zakończone z tyłu chusteczką czarną koronkową, spadającą na warkocz. Po tych ogólnych uwagach przystępujemy do szczegółowego opisu kapeluszy.

Kapelusz ze sławnego magazynu pani Virot, aksamitny w kolorze porzeczkowym, główkę ma szeroką okrągłą, rondo w kształcie daszka cokolwiek podniesionego. Nafałdowana rusza z podwójnego aksamitu otacza z przodu rondo i stanowi zarazem podpięcie. W koło po za ruszą okręcona barbka czarna koronkowa, tworzy z boku spadający pukiel z jednym końcem. Szarfy aksamitne podbite atłasem białym spinają się pod brodą, na śpięcie dodana rozeta koronkowa czarna. Róża aksamitna tego samego koloru jak kapelusz wpięta z boku, dopełniała całego przystroju.

Drugi kapelusz aksamitny koloru Bismark, główkę ma gładką, rondko fałdowane w jedną stronę. Pomiędzy rondem a główką przechodzi długie pióro bażanta. Podpięcie składa się z falbanki aksamitnéj zakończonéj z boku bukiecikiem zdobnych kwiatków aksamitnych, tego samego koloru, pomięszanych ze złotem. Z prawego boku przypięta na wierzchu kokarda aksamitna z jednym końcem, podbita atłasem białym. Szarfy białe atłasowe służą do wiązania.

Trzeci kapelusz czarny aksamitny główkę ma okrągłą płaską, rondko pąsowe aksamitne, przepinane w drabinkę czarnemi aksamitnemi rulonikami. Podpięcie nad czołem składa się z czarnego i pąsowego aksamitu, okręconego razem. Z boku wpięty bukiecik czarny lawowy. Szeroka frendzla lawowa zakończa z tyłu główkę. Szarfy pąsowe aksamitne. podbite czarnym atłasem, wygarnirowane u dołu koroneczką, dopełniają całości.

Czwarty kapelusz fijołkowy, główkę ma gładką rondo wysoko podniesione. Między główką a rondem naszyta płasko girlanda z czarnéj lawy, z tyłu główka zakończona takąż girlandą. Na wierzch zarzucona chusteczka czarna koronkowa, przytwierdzona z boku egretką z lawy i małem piórkiem strusiem. Piórko to zawrócone przez wierzch ronda tworzy zarazem podpięcie. Oprócz tego podpięta z boku biała różyczka. Końce aksamitne krótkie, zakończone kakardą i białą różą, służą do spięcia kapelusza pod brodą. *S. z Ż. D.*

Nowości zagraniczne.

Petit Courrier des dames. Jakkolwiek śmiało utrzymywać możemy, że dziś excentryczność w modzie bierze górę, nie mniejszą i to jest prawdą, że toalety kobiet dobrego gustu odznaczają się skromnością i prostotą. Ta dążność do ubiorów nie wymuszonych idzie z warstw wyższych, a chociaż nie jedna kobieta, odznacza się w swojem kole nadzwyczajnością stroju, ten sam ubiór byłby przeciwnie przedmiotem krytyki w towarzystwie wyższem. Nawet w Biaritz, gdzie czasowo bawił dwór francuzki dwie mody dały się wyraźnie zauważyć: z jednéj strony kolory jaskrawe, mięszanina w kostiumach, rękawy odmienne od reszty ubrania, uczesanie włosów podniesione do przesadnéj wysokości; z drugiéj strony (którą składała cesarzowa i damy, które ją zawsze naśladują) toalety strojne, bogate, lecz nie usiłujące robić effektu, zgodność w całem ubraniu, żadnych przyborów w odmiennych kolorach, jednem słowem nic rażącego. Dowodem tego, że najwięcéj było sukien czarnych, które także bardzo noszone są téj jesieni w świecie eleganckim.

W magazynie p. Maillard zamówiono kilka sukien czarnych, których krój zadysponowany był podług upodobania. Jedna z nich z cienkiego czarnego kaszmiru, uniesiona na popelinowéj pąsowéj spódniczce bez żadnéj ozdoby, za pomocą szerokiéj pąsowéj jedwabnéj szarfy, od któréj zachodziły szelki na stanik. Szarfy układają teraz w odmienny sposób: kokarda bowiem zamiast spadać na dół jak dawniéj, złożona z kilku szerokich pukli, podnosi się w górę i rozszerzona po bokach, dochodzi czasem do połowy wysokości pleców; inne znów składają się z dwóch pukli, które szeroko są rozłożone w odwrotnym kierunku. Zwykle szarfa bywa tego koloru, co spodnia spódniczka. W téj chwili kolor zielony (vert émeraude) jest najwięcéj używany do sukien czarnych. Druga suknia czarna przygotowana w wyżéj wspomnionym magazynie, do wód w Biaritz była uniesiona na różowéj jedwabnéj spódniczce z przyfałdowaną falbanką, szarfa różowa i takiż pasek. Długie loki noszone są nawet do codziennego ubrania w domu; zresztą czesanie głowy wymaga teraz nie wiele większych starań na rano i na po domu, jak do ubrania wieczornego, mała w tem różnica; przynajmniéj dla każdéj kobiety więcéj o strój dbającéj, czepeczki bowiem i negliżyki pozostawiono chorym i osobom starszym.

Moda zaleca na rano i do kostiumów pończochy kolorowe, wykwintne panie nie przyjęły ich jednak, szczególniéj też w kolorze pąsowym. Do trzewiczków wyciętych noszą pończochy jedwabne, te ostatnie bywają bardzo często w kolorze czarnym przy sukni czarnéj jedwabnéj. Kapelusze za uczesaniem idą coraz bardziéj w górę. Mały kapelusik *galette* zachował swój dawny fason, tylko cokolwiek wyższy, opasują go piórem lub girlandką kwiatów. Końcy

wiązanych pod brodę nie wiele widać, wszystkie prawie wiążą z tyłu pod warkoczem. Innych szczegółów co do kapeluszy dziś jeszcze nie mamy.

Na zakończenie podajemy opis kilku kostiumów i ubrań wizytowych, wszystkie z magazynu p. Maillard, faubourg St, Honoré N. 195. Moda podzielona jest w tym względzie na dwa zdania: modnie jest mięszać w kostiumach kolory, gdy tymczasem podług pań z wykwintniejszym gustem, modny jest kostium i ubranie w jednéj barwie, ta ostatnia moda jest pomiędzy całą arystokracją przedmieścia St. Germain. Tak więc cały kostium z sukienka szafirowego, inny cały z popeliny marron, inny jeszcze cały z materji *gros grains*. W drugiéj kategorji, kostium czarny na spódniczce pąsowéj z takiemiż rękawami, pasek pąsowy, kapelusz czarny z pąsowem kwiatem przy podpięciu. Drugi kostium z sukienka marron, spódniczka i rękawy zielone, kapelusik marron z zieloną girlandką. Trzeci kostium: wierzchnia spódnica z materji koloru malwy, spódnica i rękawy z białego atłasu. Czwarty kostium, Wierzch czarny aksamitny, spódnica fijołkowa atłasowa i takież rękawy. Wszystkie te kostiumy ubierane jedwabną frendzlą, grelotkami lub sznelką; przy wielu także widać koronkę hiszpańską bardzo trwałą. Paski stanowią ważną część ubioru, przyozdabiają je rozmaicie. Jako nowość notujemy paski kryształowe, najwięcéj używane do sukien białych lub jasnych jedwabnych, niektóre są śliczne rznięte całe i nakrapiane złotem, składają się z ogniwek łatwo dających się nagiąć do opasania. Kolje z czarnéj lawy, zdaje się będą jeszcze używane téj zimy.

NOWE WYDAWNICTWO.

Nakładem księgarni braci Szlejfstejn w Warszawie wychodzi poszytami, 1560 ważnych wiadomości i przepisów z Techniki, Przemysłu, Rzemiosł, Rolnictwa i Gospodarstwa domowego. Jest to według kartki tytułowéj, poradnik praktyczny wydany staraniem W. Stejnerta prezesa berlińskiego stowarzyszenia rzemieślników i pięciu innych osób przybranych do pomocy. Po polsku opracowany został przez K. Halbauera technika, i dotąd wyszło trzy poszyty stanowiących połowę całego dzieła.

Dokładne sprawozdanie o wartości podobnego wydawnictwa jest niepodobne, do wygotowania bowiem takiego, należałoby zaprosić tylu specjalistów, ludzi naukowych i praktycznych zarazem, ile całe dzieło mieści w sobie oddzielnych podziałów. Sądząc jednak z ludzi którzy się zajęli jego obrobieniem, tak oryginalnie jak i w opracowaniu na nasz pożytek, można na pewno prawie wnosić, że dla każdego stanu ludzi odpowiednią korzyść przyniesie. Za zdaniem tem przemawia jeszcze, jasność opisu, język dobry i loiczne ustosunkowanie ilości przedmiotów, wchodzących do podawanych przepisów. Przytem nie ma nigdzie rażącego niepodobieństwa tak znanego powszechnie w dawniéj wydawanych kalendarzach, a choć się zdarzy czasami rzecz mniéj pożyteczna, to zawsze ma wartość pod względem naukowym, jako wypadek doświadczenia, z których pomału wytwarza się teorja.

Takiem się wydawnictwo to w pobieżnym przeglądzie przedstawia, czas i doświadczenie wydadzą dopiero gruntowne zdanie o jego użyteczności. W prenumeracie dzieło to kosztuje rs. 1 kop. 50, każdy poszyt po kop. 25. Dotąd wyszło trzy poszyty, po wyjściu trzech drugich, cena podniesioną zostanie do rs. 2.

Opis ryciny.

Figura 1. Suknia jasno popielata z fularu indyjskiego. Po bokach naszycie z różowych plisek w zęby odwrócone do tyłu, tworzą jakby drugą spódnicę. Paletocik objety z przodu pliską, spięty na różowe guziki. Z obu stron naszyte zęby oddzielają niby paletot od kamizelki. Tył paletota znacznie przedłużony. Kapelnsik biały *poult de soie* przybrany różowemi kwiatkami i szarfą illuzjową.

Ubranie drugie. Kostium z wyrobu wełnianego. Pierwsza spódniczka przybrana trzema jedwabnemi plisami, w ciemniejszym kolorze, druga spódniczka ma przód przemarszczony. Od boków idą dwie plisy odwrócone do tyłu. Paletocik prosty przybrany odpowiednio. Kapelusik jedwabny w formie fanszonika; podpięcie z rulonu krepowego i bratków brązowych. Szarfy spięte na takiż bukiecik.

KORESPONDENCJA.

Pani J. D. Denko do czepeczka znajduje się w Redakcji, gdyż sprzedaż podobnych rzeczy niezmiernie jest trudną. Ani listów ani paczek na koszt odbierającego wysyłać nie można, dlatego pracę pani zatrzymujemy u siebie aż do dalszéj decyzji. Co do powieści tłomaczonéj, to każdą dobrą przyjmujemy chętnie.

Na liczne zapytania, zawiadamiamy, że kompletów Przyjaciela dzieci, od Nowego roku, zawierających w każdym numerze trzy lub cztery ryciny, można dostać płacąc za każdy kwartał w Redakcji po rs. 1 kop. 5, na prowincji zaś rs. 1 kop. 25.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się rycina paryzka kolorowana.

w Drukarni K. Kowalewskiego — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj. Redaktor J. K. Gregorowicz.

(Dodatek.)

PAN DE CAMORS

POWIEŚĆ,

PRZEZ

OKTAWIUSZA FEUILLET

PRZEKŁAD

Joanny Belcjowskiéj.

(Dalszy ciąg)



Burza szalała coraz gwałtowniéj, ulewny deszcz zalał strumieniem grunt dawnéj nawy, błyskawice migotały nieustannie, co chwila odrywały się kawałki sklepienia, uderzając z trzaskiem o pozostałe tu i owdzie kamienne tafle posadzki.

— Ach! jakże to piękny obraz, rzekła margrabina.

— Nie przeczę, odrzekł p. de Camors, wznosząc oczy ku szczątkom osłaniającego ich sklepienia; ale doprawdy nie wiem czy jesteśmy tu bezpieczni.

— Jeśli się pan boisz to idź sobie, rzekła.

— Boję się o panią, odpowiedział.

— Zbytek dobroci, doprawdy! I zdjąwszy kapelusik zaczęła najspokojniéj w świecie ocierać rękawiczką kilka upadłych nań kropel deszczu. Po chwilce nagle podniosła głowę i zwracając na p. de Camors jedno z tych głębokich wejrzeń, przysposabiających do strasznego jakiegoś pytania: rzekła.

Gdybyś był pewnym kuzynie, że jedna z tych pięknych błyskawic zabije cię za kwandrans, powiedz mi cobyś zrobił?

— Ależ, kuzynko, rzekł, rzecz prosta.... pożegnałbym cię.

— Jak?

— Teraz z kolei, on spojrzał jéj w oczy.

— Wiesz co, kuzynko odrzekł, iż są chwile w których gotów jestem wierzyć, iż jest w tobie coś szatańskiego.

— Doprawdy? No, przyznam ci się, kuzynie, że ja sama często tak sądzę. I tak, naprzykład w téj chwili, wiesz pan czego pragnęłabym gorąco?. Oto chciałabym rozkazywać piorunom.... a wtedy za dwie minut jużby cię nie było na świecie.

— Czemu? dla czego?

— Dla tego że nie mogę zapomnieć.... nie mogę zapomnieć że jest na świecie człowiek któremu ofiarowałam miłość moją, a on ją odrzucił.... i człowiek ten żyje.... i widzę go.... i to mi sprawia przykrość... jakiéj nawet opisać niepodobna....

— Prawdaż to? rzekł, byleby coś odpowiedzieć.

Zaczęła się śmiać. Jestem przekonana iż pan nie wątpisz że to żart tylko, i prawdę mówiąc nie bardzo dowcipny.... ale teraz za to pytam na prawdę: powiedz mi, panie kuzynie, co też myślisz o mnie? Jak ci się zdaje, jaką teraz stałam się kobietą?...

— Daję słowo, że nie umiem na to odpowiedzieć.

— Przypuśćmy więc, rzekła, iż jak to miałam zaszczyt słyszeć z ust pana przed chwilą, jest dziś we mnie coś szatańskiego, czyż myślisz że nie jest to twojem po części dziełem? Czyż nie wiesz pan, że są w życiu kobiety chwile stanowcze, w których rzucone w duszę złe ziarno, straszne może wydać plony? Raz jeszcze pytam, czyż nie wiesz pan o tem? A w takim razie któż mógłby brać mi za złe, gdybym względem ciebie żywiła w sercu uczucia anioła zniszczenia? Któż może odmówić mi wielkiéj zasługi, iż mimo to wszystko zostałam czem jestem, to jest poczciwą i dobrą kobietą, bardzo ci przychylną.... i choć może gdzieś tam w gruncie duszy zostało mi nieco urazy... jednak życzę ci szczerze kuzynie, wszelkiego szczęścia w tem i przyszłem życiu? Nie odpowiadaj mi pan, trudne to zadanie, a na nic się nie przyda.

To powiedziawszy wyszła z osłaniającego ją schronienia, i rzekła wychylając głowę na otwarte powietrze:

— Otóż i po deszczu, wracajmy do pałacu.

Lecz gdy chciała postąpić daléj, postrzegła że cała nawa zamieniła się w jedno wielkie jezioro wody i błota; widząc to zatrzymała się i zawoławszy: Co tu począć? spojrzała na atłasowe buciki obciskające śliczne jéj nóżki. Po chwili nagle zwróciła się do Camors'a, prosząc go aby postarał się o czółno, bo inaczéj o powrocie nie podobna było myśleć.

Camors zawachał się chwilę, widząc że musi przebyć to morze kału i wody, odpowiedział jednak: Racz pani zaczekać chwilkę, pójdę przynieść pani, buciki, kalosze, co tylko rozkażesz.

— Krótsza rada, rzekła jakby z nagłem postanowieniem, przenieś mnie pan przez to improrowizowane jezioro. I nie czekając odpowiedzi hrabiego, zaczęła starannie owijać w koło siebie suknię. Hrabia spojrzał na nią z zadziwieniem, sądząc że żartuje, nie uszło to jéj uwagi, zapytała go więc bardzo poważnie:

— Czegóż się pan boisz?

— Nie boję się niczego.

— Czy nie masz pan dość siły?

— Sądzę że mi ich nie zbraknie.

To powiedziawszy, wziął ją na ręce i śmiało wstąpił w błotną kałużę. Z początku musiał uważać gdzie i jak iść, aby się nie poślizngąć i nie upaść, ale gdy już na równiejszym stanął gruncie, nie mógł się oprzeć ciekawości, aby nie spojrzeć na margrabinę. Nieco pochylona w tył głowa młodéj kobiety, spoczywała na podtrzymującem ją ramieniu, przez na w pół otwarte usta, na których igrał złośliwy uśmiech, przeglądały drobniutkie białe ząbki, tenże sam wyraz dzikiéj złośliwości błyszczał w pięknych jéj oczach, i ona także spojrzała na Camors'a i przez parę sekund z natarczywą wytrwałością utkwiła wzrok w jego spojrzeniu, potem prędko spuściła oczy, zasłaniając je długiemi rzęsami. Dziwnego w tedy doznał uczucia: zdało mu się iż gwałtowna błyskawica przebiegła po całem jego ciele.

— Czyż chce abym oszalał? wyrzekł głośno zapominając się.

— Kto wie? odparła z cicha, i wtejże chwili, wysuwając się z rąk jego stanęła na ziemi, i wyszła z ruin.

Doszli do pałacu słówka nie mówiąc do siebie, dopiero gdy już miała wejść do salonu, margrabina rzekła.

— Bądź pan jednak przekonany, że w gruncie jestem bardzo dobra.... wierz mi pan.'

Mimo tego zapewnienia, Camors wierny poprzedniemu postanowieniu, wyjechał zaraz nazajutrz.

Wczorajsze zajście przykre bardzo na nim wywarło wrażenie; zraniło jego nieugiętą pychę, rozdmuchało miłość własną, zaniepokoiło poczucie honoru. Miłość że to, czy zemsta poszepnęły jéj tę piekielną zalotność? Doświadczenie uczyło pana de Camors, że gdy raz pękną lody, niebawem straszna przepaść ukaże się pod nimi, i postanowił stale, nigdy nie stawać nad jéj brzegiem. Zerwać wszelkie stosunki z margrabiną, tak radził rozum i honor, ale jakże usprawiedliwić podobne postąpienie przed jenerałem, aby nie obudzić w nim podejrzeń uwłaczających jego żonie? Nie, to niepodobna? Postanowił więc uzbroić się w odwagę, i z lodowatą obojętnością przyjmować wszelkie próby i przejścia, na jakie tylko mogła skazać go jeszcze prawdziwa czy udana nieprzyjaźń margrabiny.

Wtedy to dziwny pomysł przyszedł mu do głowy. Był członkiem kilku najarystokratyczniejszych klubów, otóż postanowił wybrać pewną liczbę z pośród najznakomitszych współtowarzyszy, i utworzyć z nimi stowarzyszenie, którego celem byłoby oznaczyć stale i utrzymywać ściśle w pośród członków, najsurowsze zasady punktu honoru. Stowarzyszenie to, o którem wiele mówiono w swoim czasie, nazywając je już to stowarzyszeniem *des Raffinés* (wyrafinowanych) już to *Templaryuszami* jak się rzeczywiście zwali, nie miało nic wspólnego z owem wsławionem przez Balzaka pod nazwą *Devorans* (Pochłaniaczy) i nie przedstawiało bynajmniéj żadnéj romantycznéj ani dramatycznéj cechy. Członkowie nie zamierzali przekraczać granic zwykłéj, pospolitéj moralności, ani praw krajowych, i nie zobowiązywali się żadną przysięgą do nieograniczonéj wzajemnéj pomocy i poparcia. Jedynem zobowiązaniem, na które dawali uroczyste słowo, było przyrzeczenie: że w wzajemnych z sobą stosunkach, zachowywać będą jak najściśléj najdelikatniejsze odcienia wymagań honoru, które wykazywał szczegółowo, umyślnie w tym celu ułożony i przyjęty przez nich kodex. Nie podobna podać dziś stanowczo tekstu i artykułów tego kodeksu, ale zdaje się iż odnosiły się wyłącznie do kwestji tyczących się mężczyzn, w ich stosunkach w klubie, oraz odnoszących się do gry, sportu, pojedynków i miłości. I tak, n. p. uważane było za nikczemność i pogwałcenie praw honoru, jeśli ktoś tylko bałamucił kobietę bez myśli żenienia się z nią. W prawdzie kodeks, nie naznaczał innéj kary jak wydalenie ze stowarzyszenia, ale skutki jéj były bardzo ważne, ponieważ od téj chwili winny stawał się obcym dla współstowarzyszonych, żaden nie podał mu ręki, nie kłaniał się i nie przyznał się nawet do jego znajomości. Tajemne to porozumienie liczne Templarjuszom zapewniało korzyści: mogli być zupełnie spokojni w rozlicznych z sobą stosunkach i różnych okolicznościach życia światowego, w jakich znajdowali się codziennie, czy to w salonach, czy za kulisami, w klubach, czy w trybunach turfu.

Bez zaprzeczenia, iż pod względem głębokości i systematycznéj stanowczości swych zasad, Camors stanowił wyjątek i przewyższał wszystkich swoich towarzyszy i współzawodników wielko-światowego życia. Iluż to dorównywało mu pod względem bezwzględnego sceptycyzmu i materjalizmu, a jednak widać jak wrodzoną jest człowiekowi potrzeba jakiegoś moralnego prawa, jak miło mu podlegać wzniosłéj jakiejś zasadzie, kiedy wszyscy wybrani adepci, którym Camors przedstawił swój projekt przyjęli go z zapałem, szczęśliwi że mogą przecie podstawić pewien rodzaj stanowczéj i pozytywnéj religji, choć w zbyt ścieśnionych granicach, w miejsce nieokreślonych i niepewnych wiadomości pospolitego honoru. Czytelnik łatwo odgadnie, że była to nowa zapora jaką Camors stawiał ogarniającéj go namiętności; tym sposobem, z podwojoną siłą krępował się jedynym węzłem moralnym, jaki jeszcze istniał dla niego na świecie. Jakby dla uwieńczenia dzieła, nakłonił jenerała do przyjęcia prezydencji utworzonego stowarzyszenia. Jenerał, dla którego honor był rodzajem tajemniczego, ale rzeczywistego bóstwa, szczęśliwy był nad wyraz, iż może przewodniczyć w gronie, umiejącem czcić ulubione jego bożyszcze, przyjął z wdzięcznością wybór i jeszcze więcéj szanował i cenił młodego przyjaciela, za tak wzniosły pomysł.'

Upłynęła połowa zimy. Pani de Campralion dawno wróciła do stolicy i prowadziła znów jak dawniéj zarazem poważne i eleganckie życie. Z rana zawsze można ją było widzieć w kościele, wśród dnia w lasku, na wizytach, lub wypełniającą obowiązki opiekunki dobroczynności, wieczorem na operze lub w teatrze włoskim. Kiedy pierwszy raz po powrocie ujrzała p. de Camors, nie okazała najmniejszego wzruszenia, a obejście jéj z nim było nawet daleko naturalniejsze i swobodniejsze jak dawniéj; żadnéj wzmianki o przeszłości, żadnego przypomnienia sceny w parku podczas burzy. Możnaby sądzić że wypotrzebowała wtedy cały zapas żółci, zrzuciła ciężar jaki miała na sercu. Słowem postępowanie jéj przedstawiało najzupełniejszą obojętność. Pan de Camors zamiast być zadowolonym z takiéj przemiany, zaczął się dąsać na prawdę, a nawet ubolewać, że tracił jedyne dla zepsutéj swéj duszy zajęcie. Coraz więcéj teraz zaczynał wierzyć, że charakter pani de Campralion, nie był ani tak głębokim, ani tak zagadkowym jak mniemał, że próżność i małostki światowe, powoli zabiły w niéj życie i dziś jest rzeczywiście tak jak mówiła, dobrą, zadowoloną ze swego losu kobiecina.

Pewnego wieczora dawano Hugonotów; hrabia zajął fotel w pobliżu orkiestry i postrzegł margrabinę siedzącą w loży. Podczas pierwszych między-aktów nie mógł zaraz złożyć jéj swego uszanowania, jak to zwykle czynił, tak wielu co krok napotykał znajomych, których powitania i rozmowy zatrzymały go w drodze. Nareszcie po skończonym czwartym akcie wszedł do loży margrabiny i zastał ją samą ponieważ jenerał tylko co wyszedł do *foyer*. Spojrzawszy z niewypowiedzianem zdziwieniem, postrzegał ślady

łez świeżych, na jéj twarzy i oczach. Zdawało się iż to schwytanie na gorącym uczynku rozczulenia, nie koniecznie było jéj miłem. Muzyka odezwała się, zawsze na mnie wywiera silne wrażenie.

— Zarzucałaś mi pani kiedyś odrzekł hrabia, że ukrywam moje przymioty, dla czegóż więc taisz swoje? Nie jestże to zaletą że masz pani czułe serce, że umiesz płakać?

— Ależ, przeciwnie, odpowiedziała... żadnéj tu nie stanowi zalety. Gdybyś pan wiedział — rzecz się ma całkiem inaczéj.

— Jesteś pani nieodgadnioną tajemnicą.

— Czy tak bardzo pragniesz pan zgłębić tę tajemnicę?.. Mogę panu jéj odgadnięcie ułatwić!..

I usuwając się nieco w głąb loży, zwróciła się do Camors'a mówiąc: Chcesz więc pan wiedzieć jaką jestem, co czuję, co myślę... czyli po prostu, czy marzę o miłości. Dobrze więc wyznaję że o niéj tylko myślę, o niéj tylko marzę! Daléj, chcesz wiedziéć czy szanuję obowiązki żony?.. Szanuję i zawsze szanować będę, ale tylko przez szacunek dla siebie, a pogardę innych. Oburzają mnie niewymownie te nędzne intrygi i miłostki, jakie wszędzie widzę w około siebie. Jakże to poziome muszą być istoty wszystkie kobiety, poprzestające na tak błachych zajęciach? Co do mnie, przypominam sobie że już kiedyś... lat temu tysiąc! — powiedziałam panu, jak świętą jest dla mnie własna moja osoba. Płakałam przed chwią, podczas tego wspaniałego czwartego aktu, ale łez tych nie wywołała sama jedynie cudna muzyka, od któréj nie ma piękniejszéj na świecie, tylko żal i zawiść jaką budziła w méj duszy wielka i wzniosła ówczesna miłość, jakiéj dziś równéj nie znajdzie. I to wszystko prawda, i to wtedy tak było rzeczywiście? Doprawdy wpadam w zachwycenie czytając dzieje tego pięknego XVI wieku! Jak ci ludzie umieli kochać... i umierać! Jakże to wzniosłe i piękne!.. Otóż mój kuzynie, odkryłam ci całą duszę moją... a teraz idź sobie, bo zwracają na nas oczy; gotowi jeszcze pomyśleć że się kochamy. Zresztą dusza moja gości jeszcze na dworze Karola IX i z politowaniem patrzę na twój frak i wysoki kapelusz... Bywaj zdrów.

— Żegnam więc i dziękuję ci kuzynko, rzekł — i biorąc rękę którą mu podała najobojętniéj, ukłonił się i wyszedł.

W korytarzu spotkał jenerała. Witaj kochany przyjacielu, rzekł jenerał biorąc go pod rękę, muszę wyjawić ci pomysł, który mi cały wieczór chodzi po głowie.

— Co za pomysł, jenerale?

— Oto, było dziś w teatrze więcéj niż kiedykolwiek, młodziutkich, zachwycających dziewic. Patrząc na nie, pomyślałem o tobie i mówiłem nawet do żony, że trzeba koniecznie ożenić cię z jedną z tych piękności.

— Ależ, jenerale!..

— Cóż znowu za ależ?..

— To rzecz arcy-ważna. Omyliwszy się w wyborze,.. jakież to straszne mogą być następstwa!

— Ba! ba! co za przewidywania!.. czyż to znów tak trudno dobry zrobić wybór? Wybierz sobie żonę podobną mojéj... niech ma wiele religji, nie zbyt żywą wyobraźnię i zimny temperament... ot i cała rzecz... ma się rozumieć że mówię ci to w zaufaniu.

— Może i pomyślę o tem, jenerale!

— Myśl, myśl nie żartem, rzekł poważnie jenerał i pożegnawszy się, poszedł do młodéj swojej żony, którą tak dobrze umiał ocenić.

Co do pani de Campralllon: znała się ona dobrze i wiernie bardzo opisała się panu de Camors. Zresztą równie jak i p. de Camors, nie była jedynym w swoim rodzaju wyjątkiem wśród kobiet wielkiego świata.

Sztuczna atmosfera wielkiego świata, tłumi zazwyczaj w kobietach poczucie i miłość obowiązku, budząc w nich natomiast przesadzone zamiłowanie uciech i życia ziemskiego. W tem kółku świetnem i fałszywem jak mamidła fantasmagoryczne, kobieta traci wkrótce prawdziwe pojęcie obowiązków życia i z chrześcjanki staje się poganką, umiejącą tylko promieniem ziemskiego oka, zataczać krąg dla swoich pragnień, myśli i dążności.

Tak jest, powtarzamy, podobne kobiety stają się pogankami, ponieważ zajmują je same tylko wrażenia zmysłowe i ani raz na rok nie powstanie w ich głowie idea, poczucie porządku moralnego; są pogankami, na wzór tych pięknych katoliczek wielkiego świata w XVI wieku, miłujących zbytek, bogate stroje, kosztowne sprzęty, nauki, sztuki, siebie i miłość; są pogankami, uroczemi jak Marja Stuart, zdolne równie jak ona, dopiero na widok śmierci, znów zostać chrześcjankami.

Trzebaż dodać że mówimy tu tylko o najlepszych, o wybranych, o tych co czytają, myślą, marzą. Co zaś do kobiet które z życia wielko-światowego, biorą tylko najsłabsze jego strony, bezdusznych raztargnionych, którem życie upływa jedynie na oddawaniu wizyt, umawianiu się o nowe uciechy, które się tylko stroją, bawią, obmawiają i rozsiewają wiadomostki, kręcą się w próżni i które wegetują bez cnót i myśli o tych lepiéj zamilczeć.

Tak więc margrabina de Campralllon była rzeczywiście taką jaką się opisała p. de Camors, tyle podobnemu sobie moralnem usposobieniem co głównie jemu zawdzięczała.

P. de Camors znał to nie robił sobie jednak żadnych wyrzutów, ale uderzony dziwną tożsamością przekonań i poglądów, coraz więcéj bolał nad fatalnym zbiegiem okoliczności, tak niezwrotnie rozłączających go z margrabiną. Zresztą od chwili kiedy z własnéj woli stawił sobie straż tak ścisłych zobowiązań honorowych, czuł się silniejszym, pewniejszym siebie i nie bronił się już ponętom silnych niedoznawanych dotąd wzruszeń, nie lękając się ich ciosów, wymierzanych w pierś tak niezwalczonym uzbrojoną pancerzem. Teraz już nie lękał się przebywać częściéj w towarzystwie swéj pięknéj kuzynki, i powziął zwyczaj odwiedzania jéj parę razy w tydzień, wychodząc z posiedzeń izby. Iiekroć zastał ją samą rozmowa ich przybierała niebawem ton szydersko-wyzywający, w którym celowali oboje. Nie zapomniał zwierzenia jakie mu uczyniła w loży Opery, i przypominając je często margrabinie, zapytywał zarazem czy odkryła gdzie marzonego bohatera miłości, a który według niego musiał być takim jak Bothvell zbrodniarzem, lub takim jak Rizzio muzykiem.

— Bywają zbrodniarze będący zarazem muzyka-

mi... w takim razie jest to ideał szczęścia. Zaśpiewaj mi co kuzynie.

Ku końcowi karnawału margrabina wydała wielki bal, na którym podziwiano powszechnie przepych z artystycznym połączony smakiem, i uroczy wdzięk z jakim pełniła obowiązki gospodyni. Tego wieczora ubrana była bardzo skromnie, miała na sobie długą suknię z ciemnego aksamitu, wyciętą, z krótkiemi rękawkami, na szyi sznur wielkich pereł, żadnych bransolet, na prześlicznie utoczonych rękach, na głowie tylko koronę margrabiowską. Wchodząc, Camors postrzegł wlepione w siebie jéj wejrzenie, jakby zwiastujące że czekała na niego; był u niéj w przeddzień balu, a rozmowa ich, czyli raczéj utarczka, była żywszą niż kiedykolwiek. Nigdy nie wydała mu się tak zachwycającą; piękność jéj ożywiona i podbudzona gorącem wrzeniem, ukrytéj walki i jakby rozjaśniona wewnętrznem światłem, jaśniała przezroczystością alabastra i nieprzepartym jakimś pociągała urokiem. Zbliżywszy się powitać ją, p. de Camors nie mógł się oprzeć poszeptowi namiętnego uwielbienia, i rzekł: Doprawdy piękność pani tak nieprzepartym dziś wabi urokiem, że chylę przed nią głowę i korzę się w uwielbieniu.

Spojrzała mu bystro w oczy: Czy tak?.. chciałabym przekonać się o tem!.. i odeszła z zwykłą sobie pyszną obojętnością...

W téj chwili nadszedł jenerał, i uderzając hrabiego po ramieniu, rzekł: Pewnie nie tańczysz, jak zwykle... zagrajmy w pikietę.

— I owszem, jenerale.

Poszli razem i minąwszy kilka salonów, weszli do buduaru margrabiny. Był to wysoki, owalny salonik, wybity pąsową materją, nie było w nim drzwi, ale dwie ciężkie portjery, odosobniały zupełnie to schronienie od poblizkiéj galerji. Przed małą sofeczką stał stolik do kart, a tu i owdzie leżały pozaczynane kobiece roboty, książki, gazety i przeglądy.

Po dwóch czy trzech partjach, które Camors przegrał, tak bowiem dziwnie jakoś był roztargniony, jenerał rzekł do niego: Wyrzucam sobie, doprawdy, młody przyjacielu, że na tak długo oderwałem cię od towarzystwa: Damy mi tego nie darują.... wracam ci zatem wolność.... idź do salonu... ja tymczasem przejrzę gazety.

— Zdaje się nie ma tam nic nowego, odrzekł Camors. I zamiast wracać do towarzystwa, wziął jakąś gazetę, i usiadł przed płonącym kominkiem. Jenerał rozparłszy się na sofce, przeglądał *Monitora armji*, robił stosowne uwagi i nareszcie zdrzymnął się z głową pochyloną na piersi.

P. de Camors choć jedynie wziął gazetę, nie czytał jéj jednak tylko marzył, słuchając dolatujących go niekiedy dźwięków muzyki. W pośród upojenia, przepychu i dochodzących go odgłosów balu, śledził myślą wszelkie poruszenia téj, co była główną jego ozdobą i królową: patrzał na jéj ruchy wdzięczne i dumne zarazem, słyszał jéj głos poważny i dźwięczny, oddychał gorącem jéj tchnieniem. Człowiek ten tak młody jeszcze przesycił się już wszystkiem: miłość żadnéj już dla niego nie miała tajemnicy, żadnym nie nęciła powabem, ale zużyta i zamarła jego wyobraźnia, budziła się rozogniona na widok tego pięknego, żyjącego i drgającego marmuru. Ta piękność doskonała, poważna, wewnętrznym trawiona ogniem, dziwną na nim wywierała władzę, niewypowiedzianym trawiła niepokojem. Była ona dla niego więcéj niż kobietą, więcéj niż śmiertelną istotą; starożytne bajki, zakochane boginie.... wszystko to mogło być prawdziwem, rzeczywistem, możliwem, i to tak blizko niego, że dość było wyciągnąć rękę, i wszystko to zagradzał mu tylko cień uśpionego starca! Tak, ale cień ten to honor, to jedyne uznane przezeń bóstwo....

Zatopiony w swem marzeniu, utkwił machinalnie wzrok w przeciwległéj portjerze; w tem nagle portjera ta uchyliła się cicho, i w fałdach jéj ukazała się głowa margrabiny, wychylając herbową koroną uwieńczone czoło. Jednem wejrzeniem margrabina objęła cały buduar, i opuszczając zwolna portjerę, posunęła się prędko do zdziwionego, nieruchomego Camors'a: Stanąwszy przed nim wzięła go za obie ręce, i rzuciwszy szybkie spojrzenie na śpiącego męża, pochyliła się nieco i spojrzała w oczy hrabiego. Rozmarzony, sam nie wiedząc co robić, zapomniał o wszystkich swoich postanowieniach i ręce jéj z uczuciem przycisnął do ust i do serca.

W tejże chwili jenerał przebudził się, ale już margrabina stała obok niego, z rękami opartemi na stoliku. Dzień dobry, jenerale, rzekła spokojnie.

Jenerał wyszeptał kilka słów, tłumacząc sen mimowolny i chciał wstać, ale ona kładąc rękę na jego ramieniu, zostań, rzekła, przyszłam namawiać kuzyna do kotyliona.

I to powiedziawszy wyszła, Camors poszedł za nią zmięszany i blady jak widmo. Minąwszy portjerę odwróciła się i rzekła mu cicho: Otóż ukorzyłeś się, poczem znikła w tłumie zapełniającym salony.

Pan de Camors nie szukał jéj, zdawało mu się że i ona unikała go także; w kwandrans później opuścił pałac jenerała.

Udał się wprost do domu; lampa oświecała pokój, kiedy przechodząc mimowolnie spojrzał w lustro, przeląkł się sam zmiany jaką ujrzał w swéj twarzy. Straszna scena w buduarze wstrząsła całą jego istotą; teraz już niepodobna było się łudzić, widocznie uczeń przewyższył swego mistrza. I fakt ten nie jest bynajmniéj dziwnym lub nadspodziewanym. Zazwyczaj kobiety przewyższają mężczyzn wielkością moralną, i nie ma cnoty, nie ma poświęcenia, nie ma bohaterstwa, w którymby prześcignąć ich nie zdołały; ale gdy raz rzucą się na drogę skażenia wtedy daleko łatwiéj i prędzéj spadają do najgłębszéj otchłani.

(d. c. n.)



Gilquin fils imp. r. des Fossés St. J. J. Paris. 3581

TYGODNIK MÓD

w Warszawie